

## Hans Urs von Balthasar: Wzajemny stosunek nieba i ziemi

Żyjemy we wspólnocie świętych, niezależnie od tego, czy ci święci już teraz są ostatecznie uświęceni, czy też jesteśmy to my, którzy ciągle jeszcze jesteśmy poddani pokusom i grzeszności. Czy chcemy tego, czy nie, mamy już udział w uroczystym zgromadzeniu pierworodnych, których imiona zapisane są w niebie i wcale nie będzie dziwne, jeśli – kiedy wreszcie po naszej śmierci „przyjdziemy do nieba” – odkryjemy, że nie zauważając tego, już w nim byliśmy – pisał Hans Urs von Balthasar.

Wśród fundamentalnych wypowiedzi biblijnych nie ma żadnej innej, która zapodziała by się nam bardziej niż pierwsze słowa: *Na początku Bóg stworzył niebo i ziemię* (Rdz 1, 1). Jak zaślepieni wytrzeszczamy oczy na starożytny, babiloński obraz świata, według którego niebo niczym, „twierdza” otacza ziemię w kształcie kuli, albo też wyciągamy na światło dzienne ogromne ilości innych religijno-historycznych materiałów, aby udowodnić, że ów dualizm obu części świata, niebieskiej i ziemskiej, który najczęściej oznacza również podobny dualizm między mieszkańcami nieba i ziemi, rozprzestrzeniony był po całym starożytnym świecie. Być może wcale nie jest to tak wiarygodny kontrargument, jak to się na ogół przyjmuje. Być może dualizm ten odpowiada religijnemu instynktowi ludzkości, który jak zwykle stwarza mityczne i fantastyczne formy wyrazu, które spokojnie możemy pominąć. Dualizm ten zawiera jednak w swym jądrze coś elementarnie prawdziwego. Jeśli ograniczymy się tylko do Biblii, wówczas rzuca się w

oczy to, że myśl wyrażona w pierwszym zdaniu przewija się we wszystkich dalszych jej księgach. Wprawdzie zmienia się ona i zostaje pogłębia, ale nigdy nie zostaje porzucona, dlatego dla Nowego Testamentu nieodzowna jest pełna napięcia przestrzeń między niebem i ziemią, a Apokalipsa zamyka się obietnicą i symbolicznym opisem nowego nieba i nowej ziemi.

Według Księgi Rodzaju niebo jest tak samo „stworzone” jak i ziemia. Nie można go więc po prostu postawić na równi z Bogiem, który był zanim zaistniało stworzenie. A chociaż jest ono przedstawione jako ulubione „miejsce” Boga i jego otoczenia, podczas gdy ziemia jest „miejszem” ludzi – *Niebo jest niebem Jahwe, synom zaś ludzkim dał ziemię...* (Ps 115, 16) – to już Stary Testament dobrze wie, że Bóg jest wyniesiony ponad wszystkie niebiosy, i że do Niego w równej mierze należą ziemia i niebo. Całościowego obrazu Biblii zawierającego napięcie między niebem i ziemią nie da się sprowadzić ani do starożytnej kosmologii (a tym samym odmitologizować go w całości), ani zrównać go z napięciem istniejącym między Bogiem i stworzeniem. Stworzony świat od początku posiada tę zasadniczą przestrzeń napięć, przestrzeń działania i oddychania, w obrębie której może żyć i dramatycznie się rozwijać. Chodzi tu o żywą więź, dzięki której to, co pochodzi z nieba, zapładnia ziemię, a ona przyjmując to, osiąga swój największy potencjał i wydajność. Wiedział o tym już Stary Testament: *Zaiste, podobnie jak ulewa i śnieg spadają z nieba i tam nie powracają, dopóki nie nawodnią ziemi, nie użyżną jej i nie zapewnią urodzaju, tak iż wydaje nasienie dla siewcy i chleb dla jedzącego, tak słowo, które wychodzi z ust moich: nie wraca do Mnie bezowocnie, zanim wpierw nie dokona tego, co chciałem, i nie spełni pomyślnie swego posłannictwa* (Iz 55, 10-11). W tym tekście „element mityczny” (deszcz i śnieg jako symbol nadchodzącego zbawienia u ludów pustynnych i stepowych) jest już całkowicie zepchnięty do poziomego porównania.

Tym, co naprawdę należy wziąć sobie do serca, jest fakt, że człowiek staje się istotą żyjącą i przynoszącą owoc dzięki Słowu lub „tchnieniu” Boga (Rdz 2, 7; Ps 104, 29nn.), że dla przynoszenia owocu Słowo Boga zostaje posłane i złożone jak nasienie w uprawną rolę oraz w ciało ludzkie. Niezależnie od tego, czy wydarzenie to przedstawione jest w prostej przypowieści Jezusa o siewcy (*nasieniem jest słowo o Królestwie* – Mt 13, 19), czy w przypowieści o zakwasie, czy o obumierającym ziarnie pszenicy, czy też o pełnej przepychu uczcie weselnej i zaślubinach Baranka, za każdym razem chodzi o to samo. „Słowo” i „Duch Boży”, którzy pochodzą z „góry”, pragną do głębi przeniknąć „ciało”, którym jest człowiek, aby to, co cielesne doprowadzić do przynoszenia takiego owocu, do jakiego zostało przeznaczone, takiego owocu, którego przecież nie można osiągnąć wyłącznie własnymi siłami, podobnie jak kobieta nie zrodzi dziecka bez udziału mężczyzny.

### **Przeczytaj także: Refleksje Balthasara nad Apokalipsą**

Ten ostatni obraz jest najgłębszy, choć nie wolno go nadużywać. Przecież, aby przynosić owoce, mężczyzna jest po prostu zdany na kobietę, podczas gdy posłanie Boskiego Słowa i Ducha na świat nie jest znakiem potrzeb Boga, a jedynie znakiem Jego dobroci przewyższającej wszystko. Bóg nie jest niebem, które potrzebuje ziemi, by osiągnąć swą pełnię, ponieważ na początku Bóg stworzył niebo i ziemię.

Według Biblii ostateczny sens ludzkiego życia polega na przyjęciu, zrozumieniu i pójściu za Słowem Bożym. W porównaniu z tym ostatecznym sensem i celem wszelkie inne immanentne dla świata znaczenia oraz działania należące do niego są „głupotą”. Dla Abrahama słowo może okazać się „obietnicą”, w którą trzeba uwierzyć, dla Mojżesza i ludu jest ono „nakazem” (Tora), według którego trzeba żyć,

dla uczniów Jezusa słowem jest żywy Człowiek z Nazaretu, „wcielone Słowo Boga”, które żąda „naśladowania siebie”. Zawsze chodzi o to samo poczęcie Słowa Bożego w konkretnej egzystencji, aby mogło dokonać się przenikanie słowa przez wszystkie włókna „ciała” aż do głębi „serca”. Ani wiedza, ani muzykalność nie czynią z kogoś pianisty, ale potrzebne są do tego nie mające końca ćwiczenia palców. Obraz atlety dobrze jest znany Nowemu Testamentowi.

Jednak stawanie się Ciałem nie jest samym tylko działaniem („ortopraksją”). Przeciwnicy Jezusa, faryzeusze, chlubili się właśnie swym poprawnym postępowaniem, ale prawdziwe oblicze Słowa zstępującego od Boga nie dosięgło ich serc. Serce to centrum człowieka, w którym dusza i ciało stanowią jedność. Musi ono samo podjąć decyzję, czy chce stać się łonem dla Bożego nasienia. Serce, to zarazem najbardziej tajemnicze i najcudowniejsze, najgłówniejsze, a zarazem najbardziej podatne na zranienia miejsce w człowieku, które człowiek trzyma w swym ręku, aby je albo otwierać, albo zamykać. Jest to coś znacznie więcej niż tylko poprawne „rozumienie” Słowa przy pomocy rozumu („ortodoksja”). Rozumienie nie sprawia bólu, podczas gdy odsłonięte serce, które poddaje się Słowu, nie uniknie ran: *twe serce przeniknie miecz* (Łk 2, 35), *miecz żywego Słowa Bożego, skuteczniejszego i ostrzejszego niż wszelki miecz obosieczny* (Hbr 4, 12).

Rodzi się jednak pytanie: w jaki sposób Słowo Boga w ogóle stanie się do końca Ciałem? Kiedy Słowo to w Jezusie z Nazaretu stoi wobec tłumu mało rozumiejących, początkowo niezdolnych do doskonałego naśladowania uczniów, kiedy stoi wobec nich jako Człowiek, który w sposób doskonały pełni całą wolę Ojca – *na ziemi, tak jak i w niebie* (Mt 6, 10) to rodzi się pytanie, jak zaistniał ów Jezus. Odpowiedź leży

wyłącznie w „tak” wypowiedzianym przez Maryję do anioła: *Oto ja służebnica Pańska, niech mi się stanie według słowa twego* (Łk 1, 38). Aby Słowo Boga mogło stać się ciałem, On sam zjednuje sobie przygotowany aż po najgłębsze pokłady ludzki świat, w którym żadna, nawet najbardziej skryta okruszyna, nie odmówi Mu posłuszeństwa, świat, z którego Słowo stając się Ciałem, czerpać będzie swe pożywienie. Będzie domagał się On każdej okruszyny, ponieważ chodzi o całkowite stanie się Ciałem. A skoro Słowo po to staje się Ciałem, aby poznać oddalenie się ludzi od Boga, doświadczyć go w sobie, przejąc na siebie i w ten sposób odciążyć swych braci od ich winy, to ofiarowanie się matczyne serca zamiarom Syna od początku będzie sprawiało Jej cierpienie. Trzeba będzie nie tylko „rozszerzenia” ciała, ale również duszy i serca Matki, aby przygotować to Ciało, które *głodzi grzech świata* (J 1, 29). Jej najgłębsza istota musi „w to wierzyć”. W przeciwnym razie nasienie Boga nie znalazłoby „najlepszego ziemskiego świata”, w którym mogłoby przynosić stokrotny owoc.

Po raz kolejny jest to skutek pra-napięcia istniejącego pomiędzy niebem a ziemią. To, co posyła niebo, tu na świecie nie może spełnić się bez udziału ziemi, bez matrycy-materii-matki, która nie dzięki własnej sile, ale dzięki mocy Świętego Ducha Bożego może wypowiedzieć całkowite, niczym nie chronione, bezbronne „tak”.

**Przeczytaj także: Hans Urs von Balthasar: Teologia misterium paschalnego**

Tym samym, w samym Wcieleniu już z góry ujawnia się relacja Chrystusa i Jego Kościoła, a może ona być przedstawiona tylko jako doskonała więź. Nie zrozumie się Kościoła Chrystusa nic a nic – to znaczy myli się go z synagogą, która na zawsze pozostała z tyłu za wymaganiami Słowa Bożego, a więc nigdy nie przyjęła do wiadomości

Jego pełnego Wcielenia – jeśli nie przyjmuje się tego, że miał On swój początek w izdebce nazaretańskiej. Nigdy później nie mógłby on stać się oblubienicą nie mającą *skazy czy zmarszczki* (Ef 5, 27), gdyby taki nie był już z góry, dzięki łasce Wcielenia udzielonej Maryi. To Ona jest już na zawsze wyniesioną do nieba oddychającą ziemią, sercem otwartym pełniej i bardziej narażonym na zranienia niż pozostałe ludzkie serca, które zawsze w jakimś punkcie pozostają zamknięte. Jednak w tym Jej otwarciu, w tym wyłączeniu na korzyść innych leży przyczyna, dla której ta jedyna w swym rodzaju Matka musi być równocześnie Dziewicą – bez reszty oddaną do dyspozycji Bogu i Matką mającą serce przynoszące owoc. Jako wyłączona jest Ona już Kościołem, jego najgłębszą, najczystsza rzeczywistością, która zawsze trwa, nawet wtedy, gdy zostaną w nią włączone jeszcze tak liczne, zbyt ludzkie, pełne wątpliwości, ciągle jeszcze czekające na zreformowanie zewnętrzne warstwy Kościoła.

Wszelkie „obcowanie świętych”, to znaczy wspólnota i przenikanie się ludzkich losów, ma swe źródło w Chrystusie dźwigającym wszelką winę. Do Chrystusa należy również, jako Jego własność, wyłączające „tak” służebnicy Pańskiej, które to „tak” ze swej strony tworzy dostępną, zamieszkałą, „dającą się wykorzystać” przez wszystkich przestrzeń.

Chrystus, Syn Boga, przyszedł, aby nas, istoty ziemskie, wprowadzić w całkowicie nową więź z *Ojcem w niebie*. Usuwa On nie tylko obcość, która na skutek grzechu weszła pomiędzy ziemię a niebo (Nowy Testament określa zamykającą się samą w sobie ziemię „światem” w negatywnym sensie), ale ponadto stwarza nieistniejącą nigdy dotąd intymność wymiany pomiędzy niebem a ziemią. Gdy w doskonały sposób pełni wolę Ojca *na ziemi jak i w niebie*, to oznacza to, że „Królestwo Boże” w sposób zasadniczy zapuściło korzenie w ziemi, ale

znaczy również, że ziemskie ciało Jezusa wzbudzone z martwych przez Boga, wyposażone w niebiańskie właściwości, otrzymało prawo obywatelstwa w niebie. Tym samym spełnił się pewien wymiar ziemi, który stanowił dotąd przedmiot tęsknoty. Oczywiście, nie chodzi o żaden wymiar opisywany przy pomocy nauk przyrodniczych czy psychologii głębi, bo ani w materialnej, ani w duchowej sferze człowieka nie da się stwierdzić obecności Bożego Słowa jako naturalnego jej elementu. Słowo jest wolnym objawieniem pochodzącym z góry i tylko wiara mówiąca „tak” spostrzeże je i będzie miała udział w jego rzeczywistości. Niebo, w którym przebywa zmartwychwstały Pan, nie da się zlokalizować w stosunku do ziemi. Z jednej strony przebywa On między nami w postaci Eucharystii *aż do skończenia świata* (Mt 28, 20), a z drugiej strony przy końcu świata obiecany jest Jego widzialny powrót. Nowy wymiar, jaki ziemia zyskała dzięki zmartwychwstaniu, przynależy zarazem do sfery niebiańskiej i ziemskiej, a Chrystus jako Bóg i Człowiek świadomie przeżywa obie te sfery.

Czyni On to jako *pierworodny spośród umarłych* (Kol 1, 18), jako *pierwszy spośród tych, co pomarli* (1 Kor 15, 20), by otworzyć nam drogę do tej intymności między ziemią a niebem. Nam, którzy bez ciała nie bylibyśmy ludźmi, bez ciała, w którym żyjąc, sprawiamy, że nasz duch rozwija się i przynosi owoc, ciała, w którym żyjąc, jesteśmy otwarci na siebie nawzajem i komunikujemy się ze sobą. Tylko że nikt nie może dokładnie określić, jak i „kiedy” dokonuje się to przejście w przypadku każdego człowieka – mówiąc inaczej – „kiedy” dla konkretnej osoby następuje „koniec świata”. Dla Chrystusa nastąpił on w dniu zmartwychwstania. Mateusz opisał zadziwiającą rzecz (sprawa bardzo kłopotliwa i ukazana w sposób wyczerpujący), a mianowicie, że nie zmartwychwstał On sam, ale wraz z licznymi *świętymi, którzy pomarli*, a których groby otworzyły się już w Wielki Piątek (Mt 27, 52-

53). Tak jak człowiekiem chciał się stać nie sam, ale za zgodą Maryi, tak jak na krzyżu chciał wisieć nie sam, ale solidarnie z dwoma notorycznymi grzesznikami, tak też nowego sposobu istnienia nie chce ustanawiać w pojedynkę, ale wspólnie z nie dającą się bliżej określić rzeszą wybranych, których zabiera ze sobą w nowy wymiar rzeczywistości.

Karl Rahner słusznie mówi o tym: „nie odpowiadałoby to obowiązującemu nas znaczeniu Pisma Świętego, gdyby się chciało odrzucić świadectwo przekazane przez Mateusza jako »mitologiczną« magmę lub przy pomocy sztucznych wybiegów podważać eschatologiczny sens tekstu tak, jakby chodziło tu o tymczasowe zmartwychwstanie, albo tylko o »pozorne ciała«. Faktycznie większa część Ojców Kościoła i teologów aż po dzień dzisiejszy trzyma się egzegetycznie jedynie możliwej, eschatologicznej interpretacji tego tekstu”. Do omawianej treści trzeba włączyć dawną wiarę Kościoła, która została sformułowana dogmatycznie, mianowicie wiarę w cielesne wzięcie Maryi do nieba. Zmartwychwstanie dokonuje się w poprzek rozwoju historii świata. Kto w ostateczny stan zostaje przeniesiony „przed” chronologicznym zakończeniem historii, tego nie wiemy poza Maryją, która dzięki swemu „tak” „dojrzała” do zamykającej wszystko pełni. W ciągu różnych etapów ziemskiego życia Jej zgoda mogła się po ludzku coraz bardziej pogłębiać, choćby na skutek coraz bardziej gorzkich cierpień, ale ta Jej zgoda objawiała przecież tylko swe już istniejące, choć ukryte wymiary. Z chrześcijańskiego punktu widzenia to, że coś, co już w sposób doskonały istnieje, może również stawać się w czasie, nie jest jakimś nadzwyczajnym wydarzeniem. Sam Chrystus, który zawsze bez reszty posłuszny był Ojcu, dopiero podczas męki *ze łzami i głośnym wołaniem nauczył się* (Hbr 5, 7) zgłębiania otchłani posłuszeństwa.

Maryja, której zgoda ucieleśniała się w ciągu całego Jej życia aż do momentu, gdy pod krzyżem Jej duszę przeniknął miecz, jak nikt inny dojrzała do tego, by wespół ze swym Synem wkroczyć w nowy wymiar świata, w jego ostateczną postać. Przy tym rzeczą całkowicie obojętną jest to, czy inni już „przed” Nią zmartwychwstali, czy też nie, ponieważ żaden z owych innych nie wypowiedział decydującego dla zbawienia świata słowa „tak”. Wszyscy natomiast „patrzyli na zepsucie” i wszyscy uiścili zapłatę za grzech, wszyscy zapłacili cenę solidarności między grzesznikami. Tak jak zgoda Maryi od początku stanowiła funkcję wydarzenia chrystologicznego, które w obliczu owej solidarności w grzechu tworzyło nową solidarność w Chrystusie, tak również Jej śmierć mogła być wyłącznie funkcją chrystologiczną, zbawczej śmierci, w której Chrystus przejmując na siebie śmierć „Adama”, nadał jej całkiem nowe znaczenie.

Powiedzieliśmy już o Chrystusie, że co do Jego eucharystycznej obecności nie da się ustalić tego, czy więcej jest jej na ziemi, czy też w niebie. Całkowitą głupotą byłoby mniemać, że przemieszcza się On ze swego niebiańskiego „miejsca” na „ziemskie”. Wszędzie tam, gdzie wspólnota celebryje Eucharystię, istnieje prawdziwe, ciągle aktualne stawanie się Obecny. Temu „przychodzeniu” nigdy nie towarzyszy odchodzenie. Chrystus może już tu być, a równocześnie wciąż na nowo przybywać. Nawet gdy między ziemią a niebem zdaje się istnieć jakaś odległość (przynajmniej duchowa), to w przeciwnym kierunku na pewno nie jest to prawdziwe: ludzie, którzy przeszli już do niebieskiej rzeczywistości nie oddalili się z tego powodu od ziemi. Wychwalana przez Pawła cnota *parrhesii*, czyli cnota radosnej szczerości i ufności, jaką ma wierzący wobec Boga, zapewnia nam w każdym momencie czasowym bezpośredni dostęp do nieba, do Chrystusa, do Boga.

*Przystąpiliśmy już do miasta Boga żyjącego, Jeruzalem niebieskiego*

(Hbr 12, 22), *do naszej matki tam w górze, ponieważ nasze prawo obywatelstwa jest w niebie*. Dotyczy to w szczególności sposób ochrzczonych, którzy równocześnie uczestniczą w Eucharystii.

**Przeczytaj nasz tygodnik: Hans Urs von Balthasar. Z perspektywy transcendentaliów**

Ale oto w sercu Kościoła stoi Maryja i do Niej, przez analogię, odnoszą się słowa dotyczące Eucharystii Jej Syna. Nie jest Ona ani w niebie, ani na ziemi, ale jest ziemią wyniesioną do nieba oraz niebem zwróconym ku ziemi. Nie dzieje się to wskutek jakiegoś procesu obróbki, ale w sposób najdoskonalej naturalny, bo dla stworzenia przewidziany jest taki ostateczny stan.

Gdy zbierze się wszystko to, co Ewangelie opowiadają nam o Maryi, to okaże się, że jest tego zdumiewająco wiele. O żadnej kobiecie w Biblii nie powiedziano tak dużo, a zawsze jest to coś tak niepowtarzalnie nowego. Gdy odnajdujemy nici wiążące poszczególne epizody, co bez wątplenia wolno nam czynić, to otwierają się przed nami nieograniczone perspektywy. Maryja zawsze pozostaje służebnicą, która stoi w tle. Pojawia się wtedy, gdy jest potrzebna. W Kanie musi wystąpić, aby ujawniła się Jej funkcja wstawiennicza, a pod krzyżem Jej obecność jest wręcz nieodzowna. Potem mamy obraz zgromadzonego na Pięćdziesiątnicę Kościoła z Maryją w centrum, a dalej nic o Niej już się nie mówi. Zresztą nie jest to już potrzebne. W centrum Kościoła modli się Matka właśnie jako to centrum, a modląc się, równocześnie weń wnika, aby w nim właśnie kontynuować swą właściwą egzystencję. Jest to najprostsze wyrażenie prawdy o Niej.

Musimy się strzec przed tym, by nie wprowadzać w ten obraz naszych wyobrażeń o odległości dzielącej niebo od ziemi. Musimy również strzec się przed tym, by w ten obraz nie wprowadzać naszych wyobrażeń o różnicy pomiędzy niebiańskim („triumfującym”), a ziemskim („walczącym”) Kościołem. Obydwa aspekty Kościoła w pełni się przenikają. Żyjemy we wspólnocie świętych, niezależnie od tego, czy ci święci już teraz są ostatecznie uświęceni i nie mogą już grzeszyć, czy też jesteśmy to my, biedni uświęceni, którzy ciągle jeszcze jesteśmy poddani pokusom i grzeszności. Czy chcemy tego, czy nie – jednak powinniśmy tego chcieć – mamy już udział w uroczystym zgromadzeniu pierworodnych, których *imiona zapisane są w niebie* (Ek 10, 20) i wcale nie będzie dziwne, jeśli – kiedy wreszcie po naszej śmierci „przyjdziemy do nieba” – odkryjemy, że nie zauważając tego, już w nim byliśmy.

*Hans Urs von Balthasar*

Fragment pochodzi ze zbioru kazań: Hans Urs von Balthasar, *Wieńczysz rok darami swojej dobroci*, Wydawnictwo WAM, Kraków 1999, s. 215-224.

## **Wszystkie artykuły z „Teologii Politycznej Co Tydzień” [498]: „Wniebowzięta”**

*fot. Livioandronico2013 / WikiCommons (lic.)*